

Droga na studia

Z egzaminem czy bez?

Corocznie o tym czasie ktoś wszczynając dyskusję na temat egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie, za nim w dyskusyjnej szranki wchodzi następni i bój się toczy zażarty przez kilka tygodni. Potem egzaminy mijają, powódz dyskusji opada, rzeka wraca w stare łożysko.

A przecież wszyscy wstępujący w szranki dyskusji na temat tych egzaminów mają coś przeciw nim; ogólnie można powiedzieć, że są zasadniczo przeciw egzaminom. A jeśli są z proponującą daleko idące modyfikacje. W tym roku dyskusja jeszcze się na dobre nie rozpoczęła. To znaczy nie rozpoczęli ostrego strzelania wyspecjalizowani w tych sprawach publicyści. „Za to” zabrał niedawno głos profesor Leopold Infeld (*), który wysunął interesującą propozycję. Uważa on mianowicie, że dla celów właściwego przygotowania młodzieży do wyższych studiów należy wykorzystać dwunastą klasę szkoły średniej, która to klasa, jak wiadomo, zostanie wprowadzona w ramach wprowadzanej już stopniowo reformy szkolnej. Prof. Infeld jest zdania, że maturę można by zdawać jak obecnie po ukończeniu XI klasy, w XII natomiast powinno się zastosować ścisłą specjalizację z podziałem już nie tylko na liceum matematyczno-fizyczne i humanistyczne, lecz z jeszcze węższymi kierunkami (np. liceum przyrodnicze osobno). Tak wyspecjalizowanego i spreparowanego absolwenta nie trzeba by już — zdaniem prof. Infelda — poddawać egzaminowi wstępnemu.

Słabością propozycji prof. Infelda jest chyba to, że odkłada on rozwiązanie sprawy do stworzenia klasy XII, co niestety nastąpi najwcześniej za cztery lata, o ile wszystko pójdzie według planów, które przecież „lubia” się zmieniać. Otóż wydaje się, że nie wolno tak długo czekać. Jesteśmy również przeciw egzaminom wstępnym na wyższe uczelnie, jesteśmy jednak za tym, by egzaminy te zostały zlikwidowane wcześniej.

Najpierw jednak dlaczego jesteśmy przeciw. Dlatego, że uważamy, iż nie spełniają one (bo nie mogą spełnić, nawet przy najlepszych chęciach egzaminujących) roli sita odcinającego lepszych kandydatów od gorszych, zdolniejszych od mniej zdolnych, pilnych od leniów itd. itp. Kilkanaście minut rozmowy nie stwarza warunków niezbędnych do dokonania takiej selekcji (pisemny egzamin niewiele w tym pomaga). Przypadek rządzi tą selekcją (ktoś trafił na „swój” temat, ktoś miał chwilę zaskakującej elokwencji itp.), a jeśli mówić o regule, to znamy tylko jedną: z reguły słabiej wypadają na egzaminach wstępnych kandydaci pochodzący z liceów prowincjonalnych, dzieci chłopów i małych miasteczkowych robotników, nie posiadający na ogół takiego obycia, tupego wymowy, pewności siebie. A te cechy przy obecnej formie se-

* Przegląd Kulturalny Nr 20/1963.

na mnie uwagi. Był to bardzo duży kościół w kształcie krzyża egipskiego, o dużej ilości kolumn, między którymi mieściło się pięć naw a wzdłuż nich widniały portrety papieży. Wzrok utkwiłem w suficie, pokrytym renesansowymi kasetonami. Połem zacząłem krążyć po kościele, zaszedłem na krużganek z kolumnami pokrytymi mozaikami na wzór bizantyjskich. Dookoła było jasno od słońca, ale gdy zboczyłem od kaplicy i stanąłem w mroku pod drewnianą statua, odbiegłem myślami od otaczających mnie arcydzieł. Siadłem w ławce, na wprost łuku, podtrzymywanego dwoma granitowymi kolumnami i przez dłuższą chwilę patrzyłem przed siebie bezmyślnie. Czułem na twarzy piwniczny chłód kościoła.

Poruszyłem się, pragnąłem jak najprędzej wyjść niepostrzeżenie z bazyliki. Popatrzyłem na modlących się ludzi. Wówczas poczułem, jak ciarki chodzą mi po plecach, bo znówu wydawało mi się, że Clementina mówi coś do mnie, powtarzając piskliwym głosem nazwę miasta Udine. W tym momencie — dobrze to wiedziałem z opowiadań mojej matki — zapewne wcześniej niż matka Clementyna — przebywał mój ojciec, w roku 1916, jako żołnierz austriackiej armii stacjonujący w bazylice nad Piawą.

lekci decydują, mniemam nawet, że bywają one ważniejsze niż wiedza. Wiadomo, że licea w dużych miastach są już zupełnie wydrenowane z kandydatów na studia. Więcej już kandydatów dawać nie mogą. A przecież szkolnictwo wyższe ma się rozwijać, ma przyjmować coraz więcej

Sprawa egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie zdaje się dojrzywać do zasadniczej reformy. Albo zostaną one w ogóle zniesione, albo też poważnie zmodyfikowane. Jednakże zdania o tym są podzielone. Redakcja pragnie więc przeprowadzić na ten temat dyskusję na łamach „Głosu”. Zamieszczony obok pierwszy artykuł, zawiera propozycję interesującą, wszakże jednak bardzo dyskusyjną. Wydaje się, że propozycja ta, ponieważ są dość skrajne, stanowią dobry punkt wyjściowy do dyskusji, w której chcielibyśmy widzieć wszystkich, którzy mają o egzaminach wstępnych coś do powiedzenia. Czekamy na wypowiedzi!

Już po napisaniu tego artykułu, przeczytałem nowe, cenne propozycje, jakie wnosi do tego problemu dr Mieczysław Prażmowski w „Magazynie Gazety Poznańskiej”.

cej młodzieży na studia. Skąd wziąć tę młodzież? Tylko z prowincji, i to z coraz głębszej. Ale ta właśnie młodzież nie staje do egzaminu

WOJCIECH SULEWSKI

Przyczynę do historii pokolenia

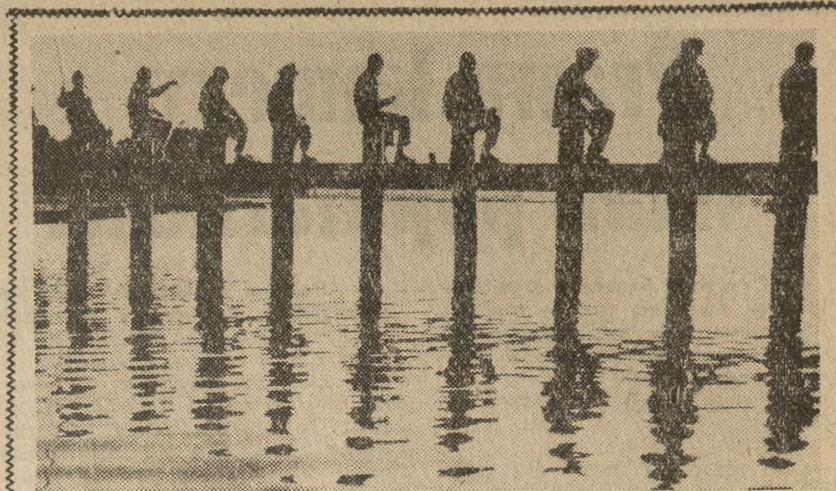
Jest ta książka wydana z godną podziwu pieczołowitością przez krakowskich edytorów, nie tylko zbiorem pięknie napisanych portretów literackich Krzysztofa Baczyńskiego, Tadeusza Borowskiego, Tadeusza Gajcego, Zdzisława Stroińskiego, Andrzeja Trzebińskiego i innych młodych twórców z pokolenia Ruchu Oporu. „Genealogia ocalonych” (*) to ambitna, zakrojona na szerszą skalę i właściwie udana próba analizy głównych prądów literackich okresu okupacji, pokazanych na przykładzie działalności najwybitniejszych przedstawicieli młodej literatury i publicystyki. Życie kulturalne podziemia pokazuje Bartelski na szerokim tle wydarzeń politycznych, walk partyzanckich i koncepcji społecznych, które w latach 1939—1944 nurtowały Polaków.

Jednym słowem, dziwny zbieg okoliczności spowodował, że znalazłem się w tej bazylice, oczekując nadejścia Clementyny.

Po mszy bazylika opustoszała. Poświęciłem wrócić na dworzec San Paolo i pojechać do Ostii. Ślapiąc na palcach, szedłem w stronę drzwi oświetlonych słońcem. Pomyślałem sobie, że gdybym w tej chwili zobaczył Clementinę, nie cofnąłbym się i nie zmienił decyzji. Żalowałem, że wdałem się w rozmowę z nią, z tą — ani ładną, ani brzydką rzymską, która nabiła mi głowę swoimi historiami. Ale kiedy zobaczyłem Clementinę, idącą w moją stronę, pomyślałem: — „Właściwie to ja ją znam, jakby już parę lat”. I ona musiała coś podobnego sobie pomyśleć o mnie, bo dlaczego przyszła na to spotkanie? Jeżeli by mnie nie znała, to dziwna, krótka znajomość nie odezwałaby się do mnie.

— Kto nie umiera, ten się spotyka.

Nic więcej nie mówiąc, schyliła głowę i posłała na środek bazyliki. Ukłękła, złożyła głęboki ułkon. Modliła się dłuższy czas, ukrywając twarz w dłoniach, zapewne za swoją matką i za Serafiną. Przeglądałem się kolorowym witrażem. Pograżony w ciszy kościół napętniał mnie lękiem...



Czwarta Wszechzwiązkowa Wystawa Fotografii Artystycznej w Moskwie. Na zdjęciu: praca pt. „Wędkarze”. Autor: W. Szkolny. Fot. — CAF

wstępnego, na równej platformie z młodzieżą wielkomięską, zwłaszcza o pochodzeniu inteligentnym. Dopiero w trakcie studiów młodzież z prowincji dorównuje kolegom z wielkich miast, a często ich przęściga zdolnościami i wkładem pracy. Aby jednak dorównać musi w pierwszej dostać się na studia.

Proponujemy: szkoła średnia przy zastrzeżeniu jeszcze kryteriach ostatecznych ocen powinna dawać świadectwa dojrzałości tylko tym, których z całą odpowiedzialnością uważa za zdolnych do podjęcia studiów. Rady pedagogiczne liceów winny decydować czy poprzeć wniosek ucznia na studia czy go odrzucić. Nikt bowiem nie może lepiej wiedzieć, czy dany uczeń nadaje się do studiowania chemii czy medycyny, prawa czy anglistyki niż nauczyciele, którzy przez lata obserwowali zainteresowania, zdolności i postępy tego ucznia. Najbardziej wnikliwy nawet egzamin wstępny nie zastąpi tej wiedzy o młodym człowieku jaką posiadają nauczyciele szkoły średniej.

Ale szkoła średnia nie zna tak zwanych limitów, to znaczy ilości kandydatów, które można przyjąć na dany kierunek studiów danej uczelni. Tutaj propozycja druga: limitować dopiero II rok studiów. Na pierwszy niech się wali tyłu, ilu wytrzymają sale wykładowe. Na wszystkich typach studiów, z technicznymi i lekarskimi włącznie, zajęcia laboratoryjne, w różnych małych pracowniach, nie zaczynają się na ogół na pierwszym roku, który to rok przeznaczony jest głównie na wykłady przedmiotów teoretycznych. A przy słuchaniu wykładu nie robi specjalnej różnicy czy obecnych jest 100 czy też 150 słuchaczy. Niechże się na tym I roku zetrą

indywidualności i postawy, niech zdrowe współzawodnictwo zadecyduje o tym, kto będzie mógł studia kontynuować. A pracownicy nauki — profesorowie, docenci, adiunkci, asystenci — będą mieli możliwość doboru znakomitego składu studentów na pozostałe lata studiów. Doboru tego dokonają nie „pi razy oko”, jak to bywa obecnie przy egzaminach wstępnych, lecz na podstawie rocznych obserwacji, przeprowadzeniu szeregu kolokwium i egzaminów z poszczególnych przedmiotów.

Można temu rozumowaniu zarzucić, że szkoły wyższe nie będą miały w swym ręku regulatora odrzucającego sprzed swych murów nadmiernej liczby kandydatów i kierującego ich na dziedziny deficytowe. Odpowiemy: obecny system też nie zapewnia równomiernego rozmieszczenia żywiu maturalistów, na jednych kierunkach przypada 5 kandydatów na 1 miejsce, na innych nawet pół kandydata na 1 miejsce nie starczy.

Zsumujmy korzyści wynikające z naszych propozycji. Młodzi ludzie zdają jeden egzamin (dojrzałości) zamiast dwóch, z których (ten drugi wstępny) przypomina więcej loterię niż egzamin. Odcinamy pracowników nauki, którym egzaminy wstępne zajmują wiele czasu nie dając żadnej satysfakcji ani poczucia wypełnienia ważnego obowiązku społecznego. Dajemy równy start uczniom pochodzącym z miast dużych czy też małych czy wreszcie ze wsi, ze środowiska inteligentnego, chłopskiego czy robotniczego. Dajemy warunki do wyeliminowania lepszego, wartościowszego materiału do dalszych studiów.

System taki daje się wprowadzić bez zwłoki.

Konfederacja Narodu, wywodząca się z ONR — Falangi (nacionalistyczna religiancka organizacja podziemna). Tworząc SiN Konfederacja Narodu kierowała się określonymi celami politycznymi, chodziło jej o uzyskanie wpływu na młodych twórców. SiN skupił początkowo sporo utalentowanych jednostek, przyciągniętych aktywnością organizacyjną i... demagogią społeczną protektorów grupy. Ideologowie Konfederacji Narodu i SiN, Wacław Bojarski i Andrzej Trzebiński, obaj bardzo uzdolnieni publicyści, potrafili rozciąć przed młodymi poetami bardzo atrakcyjne miraż filozoficzne. Proponowane przez nich różne odmiany religiancko-racjonalistycznego mistycyzmu opanowały na pewien czas wyobraźnię młodych chłopców. Wyjątkiem byli tu Tadeusz Borowski i Krzysztof Baczyński. Pierwszy z nich w ogóle nie wiązał się z grupą SiN, drugi zerwał z nią bardzo szybko i był później ostro zwalczany przez Konfederację Narodu i jej sympatyków.

Na początku 1944 roku następuje w Konfederacji Narodu kryzys ideologiczny i organizacyjny. Skupieni w grupie SiN poeci i pisarze rozluźniają dotychczasowe związki i zbliżają się do środowisk demokratycznych i socjalistycznych.

Wyjawszy Tadeusza Borowskiego, który przeżył wielomiesięczny pobyt w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu wszyscy bohaterowie „Genealogii ocalonych” zostali zamordowani przez hitlerowców lub polegli w powstaniu warszawskim.

Wartość książki podnoszą zdjęcia dokumentalne i treściwe noty informacyjne o pisarzach z okresu 1939—1945. „Genealogia ocalonych” przysła się bardzo nauczycielom, którzy tak często i słusznie skarżą się na brak źródeł i opracowań do dziejów literatury polskiej lat ostatnich.

* Lesław M. Bartelski. „GENEALOGIA OCALONYCH”. Kraków 1963. Wydawnictwo Literackie. Str. 306. Przepis. Cena zł 35.

Znaczna część książki poświęcił Bartelski analizie dziełowej i ideologii grupy literackiej „Sztuka i Naród”. Zorganizowała ją i wyposażyła w pismo o tym samym tytule,

Prawa kamery i smak popularności

— Czy przy kręceniu scen miłośnych stara się pan — dla dobra obrazu! — wprawdzie w stan uczuciowego podniecenia w stosunku do partnerki?

— Właśnie dla dobra obrazu — nie!

— Bo prawda filmowa jest całkiem inna niż prawda widziana gołym okiem. Wytłumaczę to pani na przykładzie: W jednym ze swoich wcześniejszych filmów wypadło mi grać pijaka. Ponieważ byłem wówczas bardzo niewinny — mój rozmówca uśmiecha się swoim szerokim ujmującym uśmiechem — (do dwudziestego piątego roku życia nie znałem smaku alkoholu i tytoniu!), przed kręceniem gołałem sobie trochę portera, żeby lepiej wczuć się w rolę. Reżyser i Koledzy byli zachwyceni: „No, genialnie to zrobiłeś!” Nazajutrz ojezrzeli zdjęć — wszystko okazało się do niczego.

— A więc kamera rejestruje inaczej niż oko ludzkie?

— Tak, i aktor filmowy, chcąc być przekonujący, musi ustawić swą grę pod kątem „sposobu widzenia” obiektywu kamery.

— Czy popularność publiczna, jaką się pan cieszy od kilku lat, nie męczy pana? Czy nie wpada pan w rozdrażnienie, gdy na ulicy, w pociągu czy sklepie widzi pan, że jest pan pod ostrzałem spojrzeń, że syją się mniej lub bardziej taktowne uwagi pod pana adresem?

— Tylko wtedy, gdy jestem bardzo zmęczony albo mam jakieś poważne zmartwienie. Na ogół takie uwagi cieszą. To już nie chodzi o polechtaną próżność, ale dla aktora popularność u zwykłych widzów to potwierdzenie sugestyności jego sztuki: zapamiętano go, a więc coś z jego gry, z sylwetki jaką stworzył utkwiło w ludzkiej pamięci. A o to przecież chodzi.

— Brał pan udział w filmach zagranicznych, często jeżdżąc pan do Paryża. Czy chodząc po Champs Elysées, gdzie ludzie pana tak nie rozpoznają, jak na Nowym Świecie, nie odczuwa pan pewnego braku?

— Nie. Taki relaks dobrze robi. Zagubiony się w tłumie, mogę się łatwiej skupić, popracować nad sobą, pomyśleć...

— Polskie filmy cieszą się za granicą wielką popularnością i niejednokrotnie mają lepsze krytyki niż w kraju.

— Tak. „Popiół i diament”, na przykład, jest stale w Paryżu wznawiany. Niech pani sobie wyobrazi moje zdziwienie: Siedzę raz w kafejce na Châtelet ze znanym aktorem francuskim, a tu podbiega gromadka dziewcząt z prośbą o autograf. Uśmiam się, będąc przekonany, że to do niego, a one — okazuje się — do mnie.

— A więc nie tylko w kraju nosi pan etykietę amanta, męskiego uosobienia seksu. Cybulski rozkłada ręce bezradnym gestem:

— Nie wiem skąd się to bierze, bo przecież w gruncie rzeczy jestem brzydki. A w ogóle pojęcie „amant” nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Istnieje tylko w wyobraźni rozhisteryzowanych pensjonarek, konwencjonalnych krytyków i na starych pocztówkach z gołąbkami. Każdy człowiek nosi w sobie cechy charakterystyczne różniące go od innych ludzi. I zadaniem aktora jest je wydożyć. Dopiero wtedy może przekonywać.

— Co pan najbardziej ceni we współpracy reżysera z aktorem?

— Przyjaźń. Tak się złożyło, że jestem z tego samego pokolenia, co wielu naszych reżyserów. Znamy się z czasów szkoły. Jesteśmy kolegami. To ułatwia pracę. Sporne kwestie rozstrzyga się na drodze nierzaz zażartej, ale zawsze twórczej dyskusji. Niedawno musiałem zrezygnować z propozycji świetnego reżysera francuskiego Colpiego...

— Wiem. W Polsce siedzi jego film „Tak długa nieobecność”. Doskonali!

— Właśnie. Muszę pani przyznać, trochę żałowałem, że nie będę mógł popracować pod okiem tego wielkiego reżysera, ale trudno — byłem związany z filmem Scibora-Rylskiego. I tu spotkała mnie niespodzianka. Atmosfera w czasie kręcenia tego filmu była tak twórcza i wiele dająca, że w pełni mi to wynagrodziło tamtą stratę.

— Co to za film?

— „Ich dzień powszedni”.

— Widziałam. Gra tam pan znów przedmiot pożądania i zakwiekłej walki dwóch pięknych kobiet...

Rozmawiała:

EWA BERBERYUSZ

EUGENIUSZ PAUKSZTA

Bliskie i dalekie

Zawsze ruchliwe edytorsko Wydawnictwo Literackie w Krakowie wystąpiło ostatnio z kilku pozycjami, które staną się zapewne najbardziej poszukiwanymi książkami. A więc najpierw albumowe wydanie Tadeusza Kałkowskiego „TYSIĄC LAT MONETY POLSKIEJ” w opracowaniu fotograficznym Adama Broża. Nie jestem numizmatykiem, nie zbieram monet, a przecież parę godzin prześledzałem nad tekstem Kałkowskiego i nad fotografiami

Broża. To jakiś plastyczny, skróty opis historii Polski, ukazywany poprzez pieniądź, krążący z rąk do rąk, stający się wyrazem ekonomiki państwa.

OBOK PIW-u i MON-u trzecim wydawcą pamiętników polskich i obcych, jest oficyna krakowska. W głosnej już, często przeze mnie ukazywanej serii „Pamiętniki i wspomnienia” ukazały się obecnie nader starannie wydane „PAMIETNIKI” Ludwika Jabłonowskiego, znanego już niektórym z fragmentów opublikowanych przed wojną przez Stanisława Wasylewskiego. Teraz otrzymujemy pełny tekst wspomnień tego uczestnika Powstania Listopadowego i wielu spisków późniejszych, a zarazem warcholę, wroga wszelkiego postępu, literata w młodości, przyjaciela Fredry, Wincentego Pola, Seweryna Goszczyńskiego, a jednocześnie nie zapiekłego pieniądza, nie uznającego żadnych wartości. Kapitalny, ze świadą ukazany obraz wieku XIX, zwłaszcza jego połowy, ale obraz odbity w krzywym zwierciadle, tym zresztą może ciekawość.

W szranki polemiczne wstąpił na niejednej stronie Jalu Kurek

Zbliżają się Międzynarodowe Targi Poznańskie... Kiedy pomyślę jak to znówu nasi kochani rodacy będą się na ulicach gapić na każdy zagraniczny (oczywiście ten „zachodni”) samochód, jak się będą dziewczęta mizdrzyć do cudzoziemców, a kelnerzy w lokalach kłaniać im w pas w tym samym czasie gdy Polak nadaremnie czeka przy stoliku, jak zwiędający Targi oglądając będą więcej zagranicznych niż wystawiane przez nich towary — komentując głośno w jakich to ubraniach, w jakich butach ich widzą... mam ochotę tylko na jedno: wyjechać z Poznania na okres Targów i nie widzieć tego wszystkiego. Bo mi wstyd za tych rodaków...

(Z listu do redakcji)

Istotnie, jest w tym coś. Wprawdzie nasza czytelnica (to też ciekawe, że właśnie kobieta pisze nam na taki temat) zdaje się nie zauważać, że największe nasilenie zjawiska podziwu dla cudzoziemczyzny i cudzoziemców mamy już chyba za sobą, że z roku na rok ono maleje, ale faktem jest, że jeszcze ono istnieje i że niedługo z nas drażni. Żeby nie powiedzieć — obraża naszą narodową dumę.

Bo w końcu o to chyba przede wszystkim chodzi. Tu przytoczę dla ilustracji autentyczne wydarzenie. Niedawno kolega zwrócił uwagę na moje buty. „Takie masz fajne zamszaki — powiada — czegoś takiego właśnie szukam, ale to są chyba zagraniczne”. W tym momencie ocknęła się we mnie przekora i sam nie wiem jak powiedziałem: „A tak, to jugosłowiańskie, tylko że dosyć drogie, 450 złotych, z komisu”. Rozpromienił się. „Ale, bracie, jakie reprezentacyjne.

POLACY NIE GĘSI I SWĄ GODNOŚĆ MAJĄ

Za takie się chętnie zapłaci. Że też my nie potrafimy czegoś tak ładnego zrobić! Wtedy dopiero wyjaśniłem, że „zamszaki” pochodzą ze sklepu z obuwiem przecenionym krajowej produkcji, z Rynku Jeżyckiego, że kosztowały 120 zł i że chodzę w nich już trzy sezony. Owszem, bardzo dobrze się noszą, lecz tylko jesienią i zimą, bo noga się w lecie diabelnie poci. Kolega szybko przerwał rozmowę i pożegnał się ze mną bardzo zimno.

Bywałem u naszych sąsiadów i tam obserwowałem zjawisko zgola przeciwnie, które najsilniej bodaj uwydatniało się u Czechów. Tamci wyraźnie na pierwszym miejscu darzą zaufaniem własne produkty, na obce patrzą sceptycznie.

Każda skrajność ma zwykle swoje wady, ale z dwójga złego wybierzmy jednak to drugie. Bo tak trudno być prorokiem w naszym kraju... Cokolwiek powiesz o nas pochlebne spotykasz się z wzruszeniem ramionami, z odpowiedzią, że to „lipa” i że „propaganda”. A przecież kupują od nas na świecie niemało i chwalać sobie też zakupy, a jakże. Potrafimy wiele rzeczy zrobić równie dobrze jak inni, potrafimy i lepiej. Czasami robimy gorzej, to też prawda. Żaden jednak naród nie jest wolny od braków. My zaś bynajmniej nie mamy monopolu na wszystko co najgorsze.

Wróćmy jednak do sfery obyczajów, bo ten temat głównie interesuje naszą korespondentkę. I tu nie mamy bynajmniej monopolu na uniożoność wobec cudzoziemców. Podobne obserwacje można poczynić i w innych krajach. Ale są też kraje, w których cudzoziemca traktuje się gorzej niż rodaka; ten ostatni jest uprzywilejowany w obsłudze, jemu przede wszystkim świadczy się uprzejmości. Cudzoziemiec może poczekać. Wreszcie w wielu krajach nie robi się po prostu żadnej różnicy.

I tak chyba być powinno. Gościnnością i uprzejmością wyróżniamy się, to nam może tylko przysporzyć sympatii, unikamy jednak uniożoności, bo ta nigdzie nie jest w wielkiej cenie, nierzadko natomiast w pogardzie.

Jednego zdają się rodacy nie dostrzegać, gdy tak podglądają cudzoziemców na Targach, ich ubiory, ich zachowanie w restauracjach (szafowanie pieniędzmi) i gdy to porównują z własnym poziomem życiowym. Toż przecież ci goście targowi nie są z zwykłymi obywatelami swoich krajów, nie reprezentują przeciętnego nawet standardu życia, nie mówiąc już o tym niższym niż przeciętny. To ludzie o wysokich zarobkach, często wielcy prywatni przedsiębiorcy, kupcy, fabrykanci, którzy w swoich krajach też się wyróżniają wy-

glądem i stylem życia. W dodatku żyją oni u nas bardzo tanio. Wymieniając 1 dolar za 24 zł nie robi im specjalnej różnicy czy za kolację zapłacią 100 zł czy też 120; i tak uważają (i słusznie), że jest to taniej niż w ich ojczyźnie. A nam chodzi o to, by się u nas dobrze czuli, by przyjeżdżało ich jak najwięcej i zawierali z nami jak najwięcej transakcji.

Nie koniec na tym. Kiedy widzi się naszych handlowców gdzieś na międzynarodowych targach, np. w Lipsku, Brnie czy Płodowie bez trudu się dostrzega, że oni też się tam wyróżniają na tle codziennego, pracowitego tłumu. Tak już jest w tej branży, że wykwinne ubranie i biała koszula to niejako zawodowy mundur, a stołowanie się w najlepszej restauracji — obowiązek. Bo reprezentowanie swojego kraju za granicą (oczywiście, nie turystyczne, lecz przede wszystkim zawodowe) jednak do czegoś zobowiązuje. I na pewno łatwiej tym naszym być prorokami w tych obcych krajach niż we własnym. Tak to już jest. I przeważnie kelner do takiego obojętnego podkoszku i taksówkarz może mu nawet drzwi otworzyć, bo to i rachunek będzie chyba większy i na napiwek neliży też można liczyć. Ludzkie? No pewnie, rzecz tylko w tym jak się to robi. Czy z poczuciem własnej godności czy też z przymilnym płaszczeniem się do stóp, z kulturą czy bez. I o tym każdy z nas powinien, pamiętać zwłaszcza podczas MTP, które są zawsze szczerą próbą dla naszej narodowej godności.

Rozwiązanie „Zgadywanki Literackiej”

Na konkurs „Zgadywanka Literacka” ogłoszony w dniu 12. V. 1963 r. wpłynęło 557 dobrych odpowiedzi. Wielu uczestników odnalazło w tekście ponad 60 nazwisk literatów. Dla przykładu — było nazwisko Brandys — podano w rozwiązaniu Mariana i Kazimierza, tak samo przy nazwisku Fredro, podano imiona Jan, Jan Maksymilian, Aleksander i Andrzej.

W wyniku komisijnego losowania I nagrodę — bony książkowe, wartości 500 zł — otrzymał p. H. Blimel, Poznań, Reymonta 5 m. 3. II nagrodę — bony książkowe na 300 zł — p. Ryszard Laskowski z Wrześni, ul. Opieszyn 7 i III nagrodę — bon na 200 zł — Janina Borkowska, Krotoszyn, Liceum Ogólnokształcące, Kołłątaja 1.

Ponadto nagrody pocieszenia otrzymali z Poznania: Krystyna Drzewiecka, ul. Łozowa 42 m. 1, Elżbieta Nowak, Walki Młodych 19a/10, Jacek Sobolewski, Bzowa 6 m. 1, Michałina Krawczyńska, Strusia 7/5, Aldona Michałowska, Sam. Engla 22/6 oraz Maria Góździ ze Środy, Polna 18, Elżbieta Flisiewicz ze Wschowy, Al. Kościuszki 6, woj. zielonogórskie, Elżbieta Białasik z Szamotuł, ul. Rewolucji Październikowej 3 m. 4, Janina Idzińska z Kościana, Gen. Świerzeńskiego 49 i Anna Wiśniewska z Leszna, ul. Leszczyńskich 3 m. 7.

Nagrody odbierać można od wtorku, 4 czerwca w red. „Głosu”, ul. Grunwaldzka 19, pok. 58 od godziny 9—15. Zamiejscowym boni wysłamy pocztą. (i)

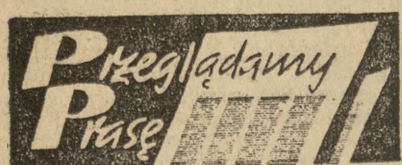
Żadne przysygn na temat (...) „wyniałego regionalizmu” czy „zaściankowości”.

UWIEŻONE MOCE

Marek Misiak w „Życiu Gospodczym” w artykule pt. „Uwięzione moce” pisze o tym, że maszyny i urządzenia milionowej wartości są niewykorzystywane: na jedną zmianę, a często na ćwierć lub na jedną dziesiątą zmiany. Autor ukazuje ten problem w raporcie z Warszawskiej Fabryki Pomp. Pisze on m. in.: „W Warszawskiej Fabryce Pomp czekają na robotników stanowiska pracy kosztujące miliony złotych. Hość tych stanowisk rośnie z każdym rokiem (...) Miliony ludzi płacą za te maszyny i nie ma dwudziestu takich, którzy mogliby wziąć je w swoje ręce. Obecnie na każdego pracownika wydziału mechanicznego przypada ponad 5 mln. złotych za instalowanie maszyn i urządzeń. A maszyny tak jak ludzie — pracują, nie pracując — starzeją się i umierają”.

W tym samym numerze problem czekających maszyn w artykule pt. „Demontaż = remon” porusza Barbara Wiśniewska na przykładzie Zakładów Remontowych nr 2 w Warszawie.

LEKTOR



CO NAM DAJE SIARKA!

W „Polityce” warto zwrócić szczególną uwagę na dwa artykuły o tematyce ekonomicznej: „Życie maszyn” Antoniego Gulowskiego oraz „Siarka i buty” Zygmunta Szeligi. Ten ostatni omawia wydatki i korzyści, jakie daje dziś i jakie przynosić będzie jutro siarka, która jeszcze w 1960 roku kupowaliśmy za granicą, a obecnie już eksportujemy. Autor zwraca również uwagę na arcyważny problem międzynarodowej współpracy właśnie na przykładzie siarki. Tarnobrzeg, to po trosze dzieło międzynarodowe: CSRS udzieliła nam 10 mln. rubli pożyczki, dostarczyła maszyny... Dług ten spłacamy siarką. „Pieniądże zainwestowane dotychczas w Tarnobrzeg przyniosą w tym roku produkcję wartości 610 milionów złotych. To jeszcze niewiele, ale (...) kombinat

dopiero się buduje. Po osiągnięciu pełnej zdolności produkcyjnej wartość produkcji, według obecnych cen, zwiększy się do około 4 miliardów złotych.

ZIELONE PLANY

To tytuł artykułu Wiesława Wernica w „Tygodniku Demokratycznym”. Tematyka dotyczy naszych lasów i gospodarki leśnej. Powierzchnia lasów wynosi 24,4 procent ogółu powierzchni geograficznej kraju. Dodałkowie załuszenia — bez uszczuplania obszarów ornych — mogą zwiększyć procent „leśności” do 26.

O znaczeniu drewna dla naszej gospodarki nie trzeba szerzej pisać. Las, poza drzewem, dostarcza również innych produktów: jagód, grzybów, zwierzyzny łownej, ziół, żywicy itp. Poza tym, wpływają zbawienne na utrzymywanie wilgotności gleby, na kształtowanie klimatu, na wypoczynek człowieka. Niestety, gospodarka dobrodziejstwami lasu, a zwłaszcza drzewem, daleka jest jeszcze od racjonalnej.

„Źródła oszczędności (...) są olbrzymie i w poważnym stopniu mogą przyczynić się do zmniejszenia wyrobów leśnych. Będzie to duże osiągnięcie gospodarcze.

I o bardzo pozytywnych skutkach. Nie bowiem nie jest w stanie zastąpić gospodarczych, zdrowotnych i krajoobrazowych efektów, jakie nam stale dostarczają zielone plany leśne naszego kraju”.

OBLICZE INTELIGENTA

„Przegląd Kulturalny” zamieszcza artykuł Marcina Czerwińskiego pt. „Odpowiedzialność inteligenta”. Autor pisze o dwóch obliczach współczesnej inteligencji, mając na myśli konsumpcyjne i produkcyjne oblicze tej warstwy. Mówiąc o pierwszym wspomina głównie o konsumpcji dóbr kulturalnych.

„Wiele zawodów robotniczych wysuwa się swymi zarobkami przed inteligentów mających nawet cenne kwalifikacje. Dlatego też nie ten czynnik, lecz styl konsumpcji kulturalnej stanowi dziś o różnicach między obu warstwami (...) Inteligencja jest wesczechronnie przysposobiona do konsumpcji (...) Można by powiedzieć, że jest w niej bardziej w swoim żywiole. Jeśli warstwa ta szerzej korzysta z turystyki, z przyjemności moty, z estetycznej okraszy życia, z teatru czy koncertu, nie dzieje się tak dlatego, że ma na to większe środki materialne. Wydaje się natomiast, że przyczyna tkwi w pobudzeniu potrzeb...”

M. Czerwiński nie rozszerza tej tezy, nie wyciąga z niej wniosku o konieczności budzenia potrzeb kulturalnych w innych warstwach społeczeństwa. Wydaje się jednak, że taki wniosek nasuwa się nieodparcie. W społeczeństwie socjalistycznym, a zwłaszcza w społeczeństwie komunistycznym, te różnice w umiejętności korzystania z dóbr kulturalnych przesłania istnieć.

TEMAT: ZIEMIE ZACHODNIE

W czerwcowym numerze zielonogórskiego pisma społeczno - kulturalnego „Nadodrże” Bogusław Kogut w artykule pt. „Wybujaj regionalizm!” pisze o najistotniejszych problemach literatury i ruchu literackiego na ziemiach zachodnich.

„Jeśli marzymy o tym (a marzenie to nie jest regionalna chimera) by wielki temat ziem zachodnich znalazł w przyszłości godne odzwierciedlenie w literaturze, to droga do tego celu nie wiedzie poprzez agitację (...) wśród współczesnych luminarzy literatury, ale poprzez stały rozwój tutejszych środowisk literackich i następnie ich efektywny udział w tworzeniu obrazu współczesnej literatury. Są to procesy długotrwałe i złożone, lecz nie powinny hamować ich